

Upiór



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Upiór

Siedzieliśmy u komina; suche drewno olchowe płonęło na nim tym spokojnym ogniem, mieniącym się w barwy zielonawe i fioletowe, na który godzinami całemi człowiek zapatrzywszy się, zadumawszy, siedziałby, ot tak, z rękoma założonemi. Tyras, głowę położwszy na łapach, drzemał, też nosem zwrócony ku kominowi. Trzech starych myśliwych otaczało ognisko to domowe, które nigdy prawie nie wygasalo, ja czwarty tuliłem się w kątku za włosieniem okrytą kanapką. Wabiły mnie tam i pociągały niewypowiedzianym urokiem powieści, które całymi wieczorami starzy sobie o dawnych czasach opowiadali. Mało kto naówczas miał ochotę i cierpliwość wziąć się do pióra, lecz bez żywego słowa nikt się dnia jednego obejść nie mógł. Byli tacy niemal z powołania gawędziarze, których Rzewuski niewłaściwie polskimi bardami nazywał, jeżdżący od dworu do dworu, z imienin na imieniny, goszczący nieraz po kilka tygodni, obwożeni po sąsiedztwie, wszędzie przyjmowani serdecznie, około których, jak tylko zasiedli, wszyscy się ustawiali, podsłuchując ich ciekawie. Opowiadanie ich częstokroć nie było bez kunsztu; historyjki te umieli na pamięć, a za każdym razem przybywał im jakiś wariant, kwiatek, dowcip i rys charakterystyczny. Więc choćby rzecz była znana, gdy ją przedziwnie pan łowczy lub cześnik opowiadał, skupiono się dokoła, zrywano boki lub łzami się zalewano, słuchając. Tego wieczora poczęło się jakoś od myśliwskich historii mniej zabawnych, ale to był wstęp tylko. Potrafić dosyć było o znane imiona księcia Karola, starosty kaniowskiego, Jabłonowskiego lub Gozdzińskiego, jednego ze słynnych dziwaków swojego czasu, aby się pokrewne im postaci, na których nie zbywało, ruszyły i powstały żywe.

Niezliczoną ich moc wydały ostatnie czasy; łatwo to nawet sobie wytłumaczyć można. Gdy zabrakło ludziom, do czynnego, bojowniczego żywota nawykłym, zajęcia, walk, celu jasnego, bujała fantazyja i, niespokojną krew burząc, pędziła na rozstajne drogi.

Gorący ludzie, przykuci do domów, stawali się kapryśnymi dziećmi. Dodajmy do tego rozpojenie przez Sasów i ową potrzebę zabawiania się nieustannego, która za nich weszła w obyczaj, podbudzanie się wzajemne w wielkiej gromadzie, wśród której wszyscy gotowi byli iść na wypródkę, aby się gorszymi nie okazać od innych.

Ze trzech starych, siedzących przy kominie, najciekawszym dla mnie był pan Seweryn Burba, którego pułkownikiem tytułowano, choć bardzo być może, iż już poza służbą grzeczni i kochający go przyjaciele trochę go zaawansowali. Słyszałem dawniej, że go i majorem, i kapitanem zwano; zdaje się, że on sam wcale o te tytuły nie dbał.

Śliczny to niegdyś musiał być mężczyzna, bo nawet już przy siwych włosach i późnym wieku jeszcze w nim dawną tę męską piękność widać było; trzymał się po żołniersku, wyprostowany, a w obejściu się z ludźmi miał coś tak łagodnego, sympatycznego, dobrego, iż trudno go było nie pokochać. Z dawnej młodej twarzy zostały mu były jeszcze niebieskie oczy, patrzące serdecznie, usta, uśmiechające się z wyrazem wielkiej dobroci, wspaniałe czoło i policzki świeże, rumiane, mało nawet pomarszczone, choć miał lat przeszło pięćdziesiąt. Spojrzawszy na niego, można się już było wielkiej siły domyślać, jakoż wistocie znano go, że siłaczem był, choć się z tem nigdy nie popisował. Wszystko, co żołnierz i szlachcic lubić, znać i umieć powinien, pan Seweryn lubił, znał i umiał, jak nikt lepiej. Koniarz był sławny, choć końmi nie frymarczył, jak drudzy, bo się do nich przywiązywał, strzelał doskonale, powoził wybornie, tylko do kieliszka, którego naówczas nadużywano, pociągu nie miał. Wypił czasem przed obiadem, coś i przy obiedzie, ale jak tylko zabierało się na pijatykę, uchodził. Gdy go zaskoczono, zakłęto, przymuszono, choć się marszczył, pił; naówczas jednak nie było żartów, wszystkich pogrzbł, sam wychodząc, jak trzeźwy.

Tylko zawsze to potem (opowiadał) odchorował. Przy kieliszku też takim, gwałtem do gardła wlewany, ani już humoru, ani zwykłej uprzejmości nie miał, dąsał się i ostro stawiał.

Pana Seweryna widywaliśmy goszczącego u krewnych w sąsiedztwie, a widzieliśmy o nim tylko tyle, że człowiek był majątny, który dobra znaczne całe oddał dzieciom, sobie jeden dworek pod lasem, ogród, ordynaryę i pensyę zostawiwszy. Że okolica, w której mieszkał, dosyć była pusta, a pułkownik z ludźmi żyć lubił, więc częściej pono u krewnych i przyjaciół, niż w domu przebywał. Gdy się zatęsknił za dziećmi i wnukami, zawracał do Horodowszczyzny, i parę miesięcy widać go nie było. Zapraszano go zdaleka nawet na polowania wszelkiego rodzaju, bo nie tylko myśliwym był wielkim, ale najmilszym w świecie człowiekiem, i przynosił z sobą dobrą myśl wszędzie.

Rzadko się trafia widzieć człowieka, któryby w różnych towarzystwach wśród drobnej szlachty i wielkich panów był tak zawsze jednym i tym samym, nie zmieniając się wcale. Nie czynił mu wstrętu stary strzelec w łapciach, ani imponował książę z Dereczyna, a choćby i udzielny. Naturalnym był i godność swoją utrzymać umiał, — jeden tylko majestat niedoli i cierpienia widoczniejsze na nim czynił wrażenie, przed tym skłaniał głowę z poszanowaniem.

Z przeszłości pana Seweryna, oprócz tego, że wojskowo służył, że wiele po świecie bywał, potem, do kraju powróciwszy, ożenił się szczęśliwie i gospodarzył, — niewiele wiedziałem. A patrząc na tego człowieka, trudno było oprzeć się myśli, że wiele przygód ciekawych w życiu swym przeżyć musiał.

Po anegdotkach myśliwskich tego wieczora zeszło wkrótce na dłuższe opowiadanie o dawnych czasach. Sięgano daleko włąb, bo starzy powtarzali to, co od ojców zasłyszeli, częstokroć też ojcowie od dziadów. Tradycje te, jak wszystkie w świecie, są prawdziwe poezye pokoleń; — prawda w nich leży niekiedy, ale naokoło jej ziarnka snuje poezya swe ideały. Około imion i charakterów skupiają się blaski, gromadzą cienie, iskrzą barwy, które były duszną potrzebą i pragnieniem tych, co niemi przeszłość malowali. Każdy naród ma takie posągi, które rzeźbiły pokolenia; dziecinną jest i śmieszna krytyka historyczna, przychodząca je mierzyć swoim łokciem maleńkim i dłużyć się w tej patynie szlachtetnej, jaką je okryły wieki, aby dobyć z pod niej pospolitego kruszcu.

Starzy gawędzili i tak się jakoś zapomnieli, uciekwszy w przeszłość, że mnie z kanapką zostawili, nie zważając może na defraudowanego słuchacza.

Pan Seweryn tego dnia był w humorze wyśmienitym, ubił kozła i dwa zające, ani razu nie chybił, nikt też zwierza nie przepuścił, za co się zawsze gniewał trochę, i pudeł wogóle było niewiele. Wpłynęło i to zapewne na rozweselenie, że po łowach zjedli smaczno, a teraz u najrozkoszniejszego ognia w świecie siedzieli z fajkami. Płynęły więc historie jedna po drugiej, smutne, wesołe, dziwaczne, niektóre na bajki wyglądające, a z dobrą wiarą przyjmowane; aż pan Seweryn rozpoczął mniej więcej w ten sposób. Zapamiętałem dobrze jego powieść całą, bo żywo mnie naówczas zajęła.

Powróciłem był właśnie do kraju — mówił — którego od lat wielu nie widziałem. Cierpiałem wówczas trochę na postrzał w nodze i, choć rana była zagojona, ból w kości czułem jeszcze. To mnie zmusiło służbę wojskową porzucić. Szczęśliwszy od innych, bo wielu naówczas niespodzianie wracających z własnymi rodzinami mieli zajścia nieprzyjemne, — znalazłem brata, który mi moją ojcowiznę ocaloną, kapitalik dosyć znaczny gotów był natychmiast wypłacić.

Uściskawszy go i Panu Bogu za to dziękując, bo niezależność jest rzeczą drogą i dźwignią wielką, obejrzałem się, co tu robić. Ba! *In quo nati sumus*¹, po żołnierskim chlebie najbardziej mi się gospodarka uśmiechała. Mamy to we krwi. Kupić coś nie trafiało się, trzeba się było rozpatrzeć wprzódy lepiej i samego siebie wypróbować. Brat mi na początek radził dzierżawę, nic byłem od tego.

W okolicy i o to było niełatwo, postanowiłem odwiedzić krewnych, których dużo rozsypanych miałem po różnych ziemiach, i poszukać, ażali się co nie trafi. Choć odrobinkę na nogę napadałem, ale był młody, lubiłem ruch, nie brzydziłem się zabawami, szukałem kobiecego towarzystwa — tylko, nie tak jak dzisiejsza młodzież, która w kobietach to najwięcej ceni, co najmniej warto, myśmy wzdychali do ideałów, do powietrz-

¹*In quo nati sumus* (łac.) — w czym urodziliśmy się. [przypis autorski]

nych istot i do dobrego towarzystwa; ażeby się mózdz zakochać, musieliśmy trafić na taką, z którą mówić było można.

Ale to — *intra parenthesim*².

Wybrałem się w drogę jakoś pod zapusty — gdzieś wpadł, pełno było wesołych ludzi, a wojskowego, który wracał z owych wojen sławnych, z owych bojów tytanicznych, co się z hukiem dział tysiąca po świecie rozlegały, każdy witał otwartymi rękami. U niejakich państwa Moskorzewskich na Podlasiu, ludzi bardzo zacnych, ale wyszłych pono świeżo z małego, dokąd mnie zawieźli krewni moi Zbąscy, zastałem zjazd nadzwyczaj liczny. Moskorzewscy ci dorobili się byli na dzierżawach fortuny znacznej, on sam potem trochę na dobrach spekulował, — czasy były takie, że je za bezcen sprzedawano, — słowem, przyszedli do grosza. A że nie mieli synów, tylko trzy słuszne córki, jak róże rozkwitłe, wesołe, dobre i po Bożemu wychowane panny, młodzież się tam, jak na lep, cisnęła. Ludzie też byli niezmiernie, może do zbytku nawet gościnni; — stary, którego obwołano dusigroszem, miał na sobie dowieść, że, choć zbierał grosze, ale je też wydawać umiał. Naprzykrzona niemal była ta ich gościnność, bo, jak człowieka pochwycili, wyrwać się im było trudno.

Panny choć były ładne, posażne, mnie jakoś do żadnej z nich nic nie ciągnęło; nie mogłem też zaś myśleć o ożenku, bo za naszych czasów kto gniazda własnego nie miał, nie ważył się w konkury, aby nań nie mówiono, że chciał się na żoninym fartuszk. Zaraz pierwszego dnia Moskorzewski, człek grzeczny, a szczególnie dla mnie, jako dla starego wojskowego, z respektem wielkim, gdy się coś zgadało, że dzierżawy szukam, wystąpił:

— My wam ją tu znajdziemy, jak pana Boga kocham.

Wziąłem to za puste słowo i tylko mu głową kiwnąłem. Drugiego dnia przy śniadaniu wziął mnie na bok.

— Wiesz pan co — rzekł — ja mam już dla waćpana na myśli dzierżawę. O kilka mil stąd mieszkają Boguszowie, rodzina zacna i majątna. Ci mają dobra rozrzucone, on sam takiego gospodarstwa dopilnować nie może, szczęściem dla niego będzie, gdy uczciwego człowieka znajdzie, z którym bezpiecznie mieć do czynienia.

— Ale jakże tak obcesowo wpaść? — rzekłem.

— Znajdziemy chwilę sposobną i kogoś, co tam w tym domu jest położony; pojedzie się od tak w odwiedzinę, i może się tam coś złożyć. Ludzie wielce grzeczni, mili, a gościom radzi, bo i staruszka się rozerwie.

Chciałem spytać o szczegóły, ale Moskorzewskiego odciągnięto, i na tem się skończyło, tyłkom Boguszów zapamiętał. Tańcowaliśmy dnia tego do upadłego i nie rozeszli aż nad rankiem. Dano nam ze Zbąskim stancyjkę osobną do przespania się w oficynie; gdyśmy tam zaszli, a choć pomęczeni, ale rozbawieni, rychło zasnąć nie mogli, o różnych rzeczach rozmawiając, powiadam Zbąskiemu:

— Jacy to Bogusze, co mi u nich Moskorzewski stręczy dzierżawę?

— Jacy Bogusze? — odezwał się Zbąski śmiejąc — otoś mi doskonały. Boguszów i Bohuszów z różnymi przydomkami w Litwie, w Koronie i na Rusi moc wielka. Familia znaczna, rozrodzona, są i majątni, są i ubożsi, nie wiem, o których ci mówił. Domyślam się jednak, że nie o innych, tylko o tych, co w Zabłociu mieszkają, i dlatego ich Boguszami-Zabłockimi nazywają.

— Cóż to za ludzie? — spytałem.

— Najszanowniejsi w świecie — rzekł Zbąski. — Starościna, staruszcza, anioł drobroci kobieta, mąż jej, jeszcze od niej starszy, żyją, jak para siwych gołębi, syna jedynaka stracili — służył w wojsku.

Wnet mi na myśl przyszło, że miałem Bogusza w szwoleżerach, i nie wiedzieliśmy tylko, czy ten sam. Zbąski mi dalej opowiedział, że dwie córki zostało Boguszom, pani Sawicka i Baranowiczowa, które przy rodzicach albo obie lub z kolei przebywały, że miały już dzieci dorosłe i t. p. Gdyśmy się rozgadali dłużej, dodał Zbąski, iż staruszka to najmłodsze swe dziecię, syna, który służył w wojsku, kochała niezmiernie, tak dalece, że, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci, nie śmiano jej powiedzieć, że zginął, a biedna matka była dotąd w nadziei powrotu tego, który już nigdy nie miał powrócić... W złudzeniu tem wolano ją

²*intra parenthesim* (łac.) — w nawiasie. [przypis autorski]

utrzymywać, niżeli odjąć jej jedyny promyk, co życie krzepił i ozłacał. Staruszka sama sobie biedna wymyślała historie najdziwaczniejsze o niewoli tego nieboszczyka, o przebywaniu gdzieś w jakimś nieznanym kraju, z którego powrotu się jego zawsze spodziewała.

— Mówię ci to — dodał Zbąski — zawczasu, ażebyś, jeżeli tam pojedziemy, nie wygadał się z czem niepotrzebnie. Moim zdaniem byłoby okrucieństwem tej matce odejmować ostatnią życia nadzieję.

Zdało mi się to trochę dziwaczem, przyznaję, że ją tak okłamywano — ale cóż mi było do tego? Nazajutrz, gdyśmy się wywczasowali i powstawali, znowu o Boguszech myśląc, przypomniałem sobie mojego szwoleżera i okoliczność jedną, w pierwszej chwili zapomnianą, że dwa czy trzy razy mnie za niego wzięto. Raz nawet, biorąc to za jakiś żart niedorzeczny, pogniewałem się mocno, i o mało do pojedynku nie przyszło. O tem nie potrzebowałem mówić ani Zbąskiemu, i nikomu też. — Bawiliśmy się jeszcze dni parę u Moskorzewskich przedziwnie, potem zabrali nas w sąsiedztwo Lewiccy, u których też hasano, choć dom był ciasny; na ostatek Zbąski mi przypomniał, żeby do Boguszków jechać, których dobrze zna.

— Tam — rzekł — choć panienek podobno jest parę, ale starzy spokoju potrzebują: zapust więc hucznych nie sprawiają. Bądź co bądź, nie znudzimy się bardzo. Mnie Bogusze ci są potrosze krewni; stary wiele razy zapraszał. Jedźmy.

Ruszyliśmy tedy do owego Zabłocia, mil cztery opętanych, saniami. Tymczasem zrana zaraz po trzaskającym mrozie wczorajszym jak lunie deszcz, do południa sanne licho wzięło. Sunęliśmy się połowę drogi po błocie bez śniegu, szczęściem jeszcze gdzie kałuża była, bo się na dnie zamróz utrzymał. Zamiast przybyć, jakeśmy sobie układali, po obiedzie, dowlekliśmy się dopiero o gęstym mroku. Co tu robić! rada w radę, czy do austeryi zajechać i jutrzejszego ranka czekać, czy odrazu do dworu? Ja byłem za austeryą, Zbąski za dworem. Stańło na mojem, ale Żyd, choć mu to było na rękę, żebyśmy u niego nocowali, nie śmiał nas przyjmować, wiedząc, że dostanie burę. Karczma stała nieopodal ode dworu; ktoś widać ze sług był w niej, gdyśmy nadjechali — i nadbiegł stary kamerdyner, aby nas natychmiast zabierać.

— To u nas niesłychana rzecz — zawołał — żeby kto nocował w austeryi, niech Bóg uchowa! Pan starostaby się gniewał! Niema tego zwyczajuj!

Jak zaczął naglić, tylkośmy się ogarnęli, bo droga nas w niwecz obróciła, i pojechaliśmy.

Zdała już po dworze wielką zamożność państwa poznać było można. Dwór był staroświecki, murowany, na rodzaj pałacu przerobiony, ogromny. Tuż oficyny, z nim połączone galeryami krytymi, zabudowania pyszne, kaplica, skarbiec. Tylko nie widać było nowej elegancyi w tem, ale jakąś staroświecką zamożność, co świecić nie chce, nie zaleca się sobą, a czuć pod nią fundamenta mocne.

Służby w ganku stało dosyć; ale nie strojnej, odzianej skromnie, rumianej, wesołej i dobrze wykarmionej.

Nim przebraliśmy się, zajechali, wysiedli, mrok się zmienił w noc, ciemniuteńko było i w pokojach się już świeciło. W domu panowała cisza jakaś uroczysta, spokój jakiś miły. Stary ów kamerdyner w perłowym kontuszu, z zegarkiem na piersiach, tabakierką i chustką do nosa, poufały jakiś, którego w karczmie nie widziałem, bom się w drugiej izbie odziewał, gdy, wyszedłszy naprzeciw ze świecą, spojrzął na mnie, coś mu się zrobiło i zachnął się. Myślałem, że mu się noga ośliznęła czy co — nie zważałem. Szliśmy już do salki bawialnej, do której nas prowadzono. Tu u drzwi stała średnich lat pani i dwie ładne panienki; była to pani Sawicka. Gdy Zbąski pierwszy wszedł, prowadząc mnie za sobą, i zastępująca gospodynią spojrziała na mnie, dostrzegłem, że pobladła dziwnie, zmieszala się niezmiernie, obejrzała niespokojna, i jakby się coś stało nadzwyczajnego, słowa z początku odezwać się nie mogła.

Stała tak jakiś czas osłupiała i, nierychło dopiero opamiętawszy się, podała mi rękę, którą ucałowałem. Dwie córki, stojące za nią, równie jak ja, znalezieniem się tem matki zostały zdziwione. Zbąski też ogłupiał.

— Panowie darują — odezwała się głosem przerywanym i niepewnym — ojciec jest trochę niezdrów, matka także, ja na chwileczkę muszę wyjść do nich, wracam natychmiast. Misia i Lorcja zastępować będą gospodynią.

Wszystko to mówiła z pośpiechem, oglądając się ku drzwiom, z takim jakimś niepokojem wyraźnym, iż czuliśmy przybycie nie w porę. Ale po cóż nas zapraszano i ciągniono tak gwałtownie. Rzecz była niepojęta.

Grzeczne panienci, które zdawały się nie podzielać i nie rozumieć nawet zakłopotania matki, zaraz po jej odejściu, z wesołością wiekowi swojemu właściwą, zaprosiły nas do stolika, szczebiocąc i starając się rozpocząć jaką taką rozmowę.

Nie było to łatwym, ale katastrofa tego dnia i nagła odwilż, która nam takiego figla splatała, na początek dostarczała wątku. Zbąski, i zły trochę i zmieszany tem przyjęciem, usiłował nie pokazać po sobie, co się w nim działo; i nuż opisywać nasze dzieje, naszą sanę, utrapioną podróż i śmieszne jej przygody.

Panny radeby się były tem zabawić i prychały potrosze, ale — matka nie powracała, spoglądały na siebie, widocznie zrozumieć tego nie mogąc, dlaczego uciekła tak prędko i została tak długo.

Wszystkim nam ten kwadrans wydał się godziną, chociaż ja wiedziałem najlepiej o tem, iż więcej kwadransu nie trwało to dziwne położenie, bo siedziałem naprzeciw przepysznego zegara, w szafce brązowej zamkniętego, który miałem czas admirować.

Przedłużone oczekiwanie na matkę zaniepokoiło w końcu jedną z panienek, która, pokręciwszy się na krzeselku, poszeptawszy coś z siostrą, wyrwała się i pobiegła. Została do bawienia nas dwóch jedna gosposia, na którą wystąpiły rumieńce, wesołość ją opuściła, żal mi się zrobił niezmierny biednej dziewczyny — i to było pono zawiązkiem, jak państwo zobaczycie, daleko gorętszego dla niej sentymentu.

Zbąski, pomimo nadrabiania wesołością, coraz większe też okazywał zakłopotanie, w głowie mu się nie mogło pomieścić, co się stało. Zapytał w końcu pannę, czy nie zasłabł kto w domu?

Panna spuściła oczy i bełkotała coś niewyraźnie:

— Podobno babcia trochę niezdrowa, ale to nic.

Siedzieliśmy, jak na mękach, gdy naprzód powróciła pośpiesznie, mocno zarumieniona druga panna, i w teże chwili prawie otwarły się drzwi ze strony przeciwnej, a w nich ujrzeliśmy prowadzonego pod rękę przez wyrostka, o kiju zwolna wchodzącego staruszka, przygarbionego nieco, który ciekawe oczy wlepił we mnie, nic nie mówił i zdawał się drżeć cały. Powstaliśmy, aby go powitać, nie posuwał się dalej, spostrzegłem, że lzy miał na oczach. — Wszystko to dla nas było tajemnicą nierozwiązaną; po chwilce, przemógłszy się, staruszek żywo pośpieszyć chciał ku nam, a chociaż Zbąski stał na przodzie, jak w tęczę patrzył we mnie. Panienci usunęły się na bok.

— Pan starosta dobrodziej przebaczy — odezwał się, postępując ku niemu — przybyliśmy jakoś nie w porę.

— Ale jak to nie w porę?... — niby ocknąwszy, poczał żywo, głosem drżącym i zmuszając się do uśmiechu starosta. — Owszem, Bóg widzi, z duszy i serca radzi jesteśmy, radzi...

Głos mu zawiązał w piersiach, widziałem, że lzy mu płynęły z oczu, choć usta usiłowały się uśmiechać.

— Serdecznieśmy wam radzi — powtórzył. — Siadajcie, proszę.

Gdym się zbliżył zaprezentowany starości, podał mi rękę, chwycił moją i wlepił we mnie oczy tak natarczywie, żem się zmieszał.

Tymczasem panny, jakby korzystały z ukazania się dziadka, pierzchnęły natychmiast.

Zostaliśmy sami. Pacholę, które towarzyszyło Boguszowi, posadziwszy starego na krześle, samo zaraz wycofało się z pokoju. Zbąski już miał rozpocząć znowu opowiadanie o odwilży i jej skutkach, gdy starosta, nie spuszczaający mnie z oka, odezwał się do mnie:

— Służyłeś pan wojskowo?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— To zaraz widać po człowieku — podchwycił śpiesznie stary. — I ja... i ja miałem... mieliśmy syna w tym wieku, co pan, w wojsku także.

Splątał się, mówiąc coraz niewyraźniej, i rozplakał głośno.

Złe mi się zrobiło, wyrzucam sobie, żem moją przytomnością obudził tu takie wspomnienia i zasmucił biednego starca. Zamilkłem strapiony, przypomniawszy sobie jeszcze moje nieszczęśliwe podobieństwo do owego Bogusza od szwoleżerów. Wyjaśniło mi się

teraz wszystko: wejrzenia niespokojne, łzy, pomieszanie starszych osób. Nie pozostawało mi nic więcej nad to, jak, otwarcie się rozmówiwszy, wycofać się z położenia, które i dla mnie srodze przykrem było. Odwróciłem się do pana starosty.

— Niech mi pan daruje moją otwartość przy pierwszym spotkaniu — rzekłem — jestem żołnierz, to mnie trochę tłómaczy. Widzę, że obudzeniem wspomnień, dla serca rodzicielskiego bolesnych, wzruszyłem państwa i wniosłem z sobą łzy do domu. Pozwól mi, panie starosto, abym się oddalił.

Wstawałem już; staruszek naprzód ręce podniósł do góry, potem, wyciągnąwszy je, chwycił moją dłoń i ścisnął silnie.

— Na miłość Boga ukrzyżowanego — zawołał — nie czyń-że mi tej przykrości i tego despektu. Mylisz się waćpan; łzy to są smutne, ale słodkie razem; żywy obraz syna naszego mamy przed sobą — niech się choć tem pocieszę. Zlituj się, nie bierz za złe...

Mówił z taką gorącością starosta, że przez poszanowanie dla wieku i uczucia, jakie okazywał, nie śmiałem się mu sprzeciwić, siadłem zakłopotany, wyrzucając tylko w duchu sobie, że myśl miał pojechać tu, Moskorzewskiemu, że mi ją poddał, i Zbąskiemu, że mi ją do skutku przyprowadził.

Staruszek, ocierając łzy, wciąż patrzył na mnie.

— Podobieństwo nadzwyczajne — szeptał, jak sam do siebie — niesłychane. Postawa, twarz, głos, ruchy... Boże miłosierny!

Domawiał tych wyrazów, gdy drzwi od pokojów naprzeciw otworzyły się, i prowadzona przez córkę ukazała się pani starościna.

Osoba była w późnym wieku, a choć od męża młodsza, tak złamana cierpieniem, że się niemal od niego wydawała więcej zgrzybiałą i osłabłą. Szła drżąc, powoli, opierając się na córce i wnuczce. Pomimo wieku i znękania, które się na smutnej malowało twarzy, starościna była tak piękną, iż malarzby z niej wzór mógł brać do obrazka. Smutkowi jej towarzyszyła taka anielska słodycz w wyrazie ust, wejrzeniu, w składzie wszystkich rysów twarzy, nawykłej życiem do chrześcijańskiej rezygnacji i cierpliwości, iż niepodobna było nie uczuć się wzruszonym widokiem tego oblicza pełnego oraz powagi, dobroci, bólu i spokoju pobożnego.

Nierychło, zbliżywszy się ku nam, podniosła oczy i poczęła się uważnie wpatrywać we mnie i Zbąskiego. Musiano ją zapewne, unikając zbyt silnego wrażenia, uprzedzić o mojem podobieństwie do syna. Wzrok miała osłabiony, i, gdym z kolei przystąpił do ucałowania jej ręki, wlepiła we mnie oczy, ściskając mnie i nie puszczać ręki mojej.— Czulem przyspieszony oddech staruszki, dłoń jej drżała mocno, tchnęła, jakby jej powietrza zabrakło, i, nawet nie odpowiedziałwszy na moje powitanie, padła na podane jej krzeselko.

Córka dała mi znak głową, ażebym zajął miejsce przy staruszce — musiałem być posłuszny. Siedzieć tak pożeranemu ciekawemi oczyma, jak winowajcy, nie jest miłem; krew mi biła do głowy. Starosta i starościna, niemi oboje, to na siebie, to na mnie patrzali; milczenie stawało się nad wyraz przykrem.

Starościna wreszcie, jakby na męstwo się wysilając, głowę podniosła ku mnie i spytała z wyrazem pełnym czułości:

— Skąd pan przybywa? dawno w kraju? Słyszałam...

Chciałem uniknąć wspomnień wojska i wszystkiego, co mogłoby staruszków zasmuć, odpowiedziałem ogólnymi wyrazami, że jechał od brata, że znajdując się w sąsiedztwie, korzystałem ze zręczności, aby poznać dom, o którym tyle w obywatelstwie słyszałem i t. p.

Gdym to mówił, niezbyt zręcznie się tłómacząc, bom był niezmiernie pomieszany, starościna, pochylona ku mnie, słuchała, usta jej się uśmiechać poczęły, twarz rozpromieniała, oczy zajaśniały, podała mi rękę.

— A! to dobrze! dobrze, ślicznieś pan zrobił, żeś do nas zjechał! tu u nas spoczniesz! nieprawdaż? długo a długo?

Nie wiedziałem już, co odpowiadać — lecz, widząc starościnę wesołą, nabrałem śmiałości, pocałowałem ją w rękę i uczulem, że usta zbliżyła do mojej głowy. Pani Sawicka, stojąca tuż, spoglądała niespokojnie i, chcąc ułatwić dalszą rozmowę, poczęła rozpytywać o zapusty u Moskorzewskich i sąsiedztwo. Wmieszał się do rozmowy starosta, zagadał Zbąski, trochę się jakoś ożywiło. Chciałem wśród tego wstać z krzesła i inne zająć miejsce,

ale starościna za każdą razą wyciągała rękę i nie puszczała mnie od siebie. Jak na mękach, ścigany wejrzeniami obojga starych, wysiedziałem do wieczery. Do stołu staruszka kazała mi się prowadzić i posadziła obok siebie. Pilnowała mnie przy jedzeniu z troskliwością nadzwyczajną, która niezbyt nawykłego do tych atencji i czułości coraz bardziej kłopotowała. W duchu sobie postanawiałem nazajutrz rano, ani wspomniawszy już o dzierżawie, uciekać.

Tymczasem stało się inaczej, czegom się nie spodziewałem wcale. Zbąski, który był gaduła nad gadułami, po kilku kieliszkach dobrego wina, plotąc trzy po trzy, o tem i owem, wypaplał się przed starostą, że miałem myśl szukania dzierżawy.

— A to się, mości dobrodzieju, składa, jak nie może przedziwniej — zawołał Bogusz, — prawdziwa opatrność Boska. Ja właśnie szukam dzierżawcy! Rozgość się asińdziej u nas, objeżdż, opatrz, jak Bóg miły, zgodzimy się, będzie wilk syty i koza cała...

Starościna, posłyszawszy to, klasnęła aż w ręce, zdawało się, że to ją niepomiernie uradowało.

Szczególna rzecz, spojrziała na mnie z wyrazem jakimś porozumienia się i przebiegłości, jakby pochwaliała doskonały fortel jakiś i posądzała, że ta dzierżawa była fikcją. Znowu nie wiedziałem, ani co to jest, ani co się dzieje. Ale reszta wieczora upłynęła już różnie i weselej.

Gdy przyszła godzina rozchodzenia się na spoczynek, starościna przywołała kamerdynera, polecając mu, aby pamiętał o wszystkich naszych wygodach. Starosta dawał mu informację od siebie. Poprowadzono nas do gościnnych pokojów.

Okrutny ciężar spadł ze mnie, aż mi lżej było, wyszedłszy z tego fałszywego położenia. Pokoje wyznaczone były nie tylko wygodne, ale można powiedzieć, zbyt koźownie urządzone. Gdy się stary kamerdyner oddalił, dopierom sobie wodze mógł puścić i rozprawić się ze Zbąskim. Ja brałem to jakoś tragicznie, a mój kolega, co mnie gniewało, komedję czystą robił z tego.

— Starym przypominasz syna! z czułością są dla ciebie, co w tem u kaduka tak desperackiego! Dzierżawę puszcza ci tanio, któż wie! *in gratiam*³ podobieństwa, wnuczka jeszcze mogą wydać za ciebie! A ten się zżyma!!

Mnie, przyznaję się, i gniewało i niecierpliwiło, że nie sobie byłem winien te łaski i fawory, ale jakimś nieboszczykowi. Być żywym upiorem nie jest rzeczą miłą.

Chciałem się i dzierżawy wyrzec, a uciekać, ale Zbąski mnie za poły trzymał i aż do połajania przyszło, bo mnie dziwakiem nazwał. Ani ja, ani on nie wiedzieliśmy naówczas, w co wpadłem z tem mojem nieszczęśliwym podobieństwem do nieboszczyka szwoleżera. Później znacznie dopiero od matki mojej żony dowiedziałem się, jak rzeczy stały.

Starościna tak była uderzona żywym obrazem ukochanego syna, że sobie powiedziała, iż ja byłem nim wistocie, żem się tylko z jakichś powodów chciał pod obcem ukrywać imieniem i że fortelu użyłem, aby do rodziców przyjechać. Napróżno pani Sawicka w początkach usiłowała jej to wyperswadować, mówić sobie nawet nie dawała, abym ja kim innym był, jak jej synem.

— Co ty mi gadasz! proszę cię — odezwała się do córki. — To on! to on! Widać, że mu jakieś biedakowi grozi niebezpieczeństwo, że się musi ukrywać... Dwóch ludzi tak podobnych do siebie nie może być na świecie, mowa, ruchy, uśmiech... To mój Władzio! to on!

Starosta w początkach usiłował żonie wyperswadować także przewidzenie to; rozpląkała się tylko, zniecierpliwiła; nic nie pomogło.

— Niby ja nie rozumiem! przyjechał za dzierżawą! A tak! Udawajmy, że nie poznamy... ale to on, serce moje go czuje.

I mąż i pani Sawicka musieli staruszkę przy tem złudzeniu zostawić, mając nadzieję, że następne dni je rozprósza.

Nazajutrz rano, zaledwieśmy się ubrali, starosta kazał się powieść i zasiadł na gawędkę, o wyjeździe mówić nie dawał, myśl dzierżawy chwycił gorąco, kazał przynieść inwentarze, osnuł objazd majątku, na dni kilka rozłożony; a że dnia tego lał deszcz, potrzeba było z oględzinami czekać lepszej pory.

³*in gratiam* (łac.) — z powodu... dzięki... [przypis autorski]

Musiałem przesiedzieć niemal cały dzień ten przy staruszce, która mnie od siebie puścić nie chciała. Jakkolwiek przykrą mi była ta rola cudza, pożyczona, macierzyńskie to przywiązanie, czułość, serdeczność starościny chwyciły mnie za serce. Ja, com matkę stracił zawczasu i ledwie ją sobie przypominałem, znajdowałem w niej tę miłość macierzyńską, której żadna w świecie zastąpić nie może; poddałem się losowi mojemu, powiedziałem sobie, że, mogąc osłodzić biednej staruszce kilka chwil życia, byłbym okrutnym, gdybym dla fantazyi jakiejś i dumy się cofał.

Zarazem jednak, czując się sobą i chcąc okazać, jakim byłem wistocie, aby powoli wywieść ją z błędu, już tego dnia nabrałem śmiałości, rozweseliłem się i nadrabiałem fantazyą może do zbytku.

Na nieszczęście, co miało pomódz, to jeszcze utwierdzało; znać, że obyczaje i humor nieboszczyka i szwoleżera, równie jak twarz, do moich być musiały podobne. Im bardziej starałem się być panem Sewerynem, tem więcej byłem Włodziem.

Skutkiem osobistego położenia mojego, jakby w myśl starościny idąc, mąż jej, pani Sawicka, a co gorzej, obie panienki, córki jej, spoufalały się ze mną coraz bardziej i ja z niemi. Młody byłem, a Lorcja, śliczne dziewczę, wesołe, naiwne, od pierwszego wejrzenia uczyniła na mnie wrażenie. Starościna tegoż dnia, niby odkrywszy moje podobieństwo do syna, pół żartem, pół seryo, zażądała, żebym ją mamą nazywał, i poczęła mnie Włodziem wołać. Zatem szło, że pięknych dwóch panien zostałem wujaszkiem, co ze śmiechem i wesołością przyjęto za rzecz postanowioną.

Ten żart dozwalał mi się zbliżać do siostrzenic daleko śmieiej, niż panu Sewerynowi. Drugiego dnia deszcz nie ustał, siedzieliśmy, jak wprzódy, w domu, ja przy staruszce i już naprawdę przywiązując się do niej, jakby do matki.

Pani Sawicka, nic nie mówiąc, niememi wejrzzeniami dziękowała, starosta był wesoły, ja sam pod wieczór zapomniałem o mojem położeniu fałszywem.

Tymczasem Zbąskiemu, który już miał myśl starania się o jedną z panien Moskorzewskich, pilno było do nich powracać, mnie samemu tu zostać zdawało się niepodobieństwem. Prosiłem go, błagałem; rwał się, obiecując powrócić, niepodobna go było wstrzymać, a starosta nie tylko mnie nie puszczał, ale o wyjeździe słuchać nie chciał.

Tylem tylko wymógł na Zbąskim, że do najbliższego folwarku o milę od Zabłocia pojechał ze mną na oględziny, a stamtąd wprost miał wracać do Moskorzewskich. Ja zaś dałem słowo najuroczystsze, że przyjadę do Zabłocia. Pani Sawicka, która była w spisku, dojrzawszy może, iż bardzo na Lorcję często spoglądałem, tak to zręcznie jakoś ułożyła, iż ona mnie wyciągnęła na słowo.

W Rutkach, folwarku, który miałem dzierżawą objąć, okazały się warunki takie, gleba, wygody, zabudowania, inwentarze, iż na świecie całym nicbym dla siebie korzystniejszego wyszukać nie mógł ze świecą. Zbąski mi powiedział wprost:

— Trzeba być waryatem, żeby ze szczęścia nie korzystać! Bierz, mówię ci, z zawiązanemi oczyma.

Dzierżawa była od św. Jerzego na wiosnę; dom mieszkalny, wcale nie zły, choć jutro zająć mogłem. Starosta inwentarz swój zostawił mi z warunkiem oddania *in statu quo*⁴, bez przypłodku.

Składało się tak, licząc w to piękne oczy Lorci, że, choć miałem wstręt do korzystania z fizyognomii mojej i jakiegoś tam przypadkowego podobieństwa, wyrwać mi się było trudno.

Gdy sam już powróciłem do Zabłocia, a kamerdyner mnie do starosty zaprowadził, zastałem go w krześle z koronką w ręku, powagą jakąś wielką obleczonego i smutnego. Począł się mnie najprzód rozpytywać o Rutki; nie było im nic do zarzucenia, musiałem prawdę wyznać.

— Mówmy otwarcie — odezwał się starosta — ja lepszego dzierżawcy nad was nie znajdę, a pan, wątpię, byś powolniejszego i wyrozumialszego dla siebie znalazł jurysdatora; nie będę przed nim i tego tań, iż sztuczniebym go chciał zatrzymać w sąsiedztwie dlatego, abym mojej biednej Annie uczynił tem przyjemność. Waćpan jesteś żywym wizerunkiem naszego syna; jej przywiązanie do dziecka sprawiło to, że nie obraz jego, ale samo to dziecię chce w nim widzieć. Napróżnośmy się starali jej to wybić z głowy. Uro-

⁴*in statu quo* (łac.) — w dawnym stanie. [przypis autorski]

jenia swojego trzyma się, jak ostatniej deski wybawienia. Bądź waćpan wyrozumiałym, bądź pobłażającym dla biednej staruszki, Bóg ci to nagrodzi! Nie popełniasz grzechu, czynisz dla nas ofiarę, uczynek dobry! Bóg ci to nagrodzi! — powtórzył.

Stary pocał mnie ścisnąć ze łzami; na tem się skończyło; wziąłem Rutki.

Miałem najmocniejsze postanowienie, zmuszonym teraz będąc, zwłaszcza w początkach, codziennie niemal przyjeżdżać do Zabłocia, nie sprzeciwiając się bynajmniej staruszce, nie pomagając jej jednakże do zachowania złudzenia. Ostrożnie rozpocząłem to o mojej rodzinie mówić, to o stosunkach i t. p.

Staroscina słuchała z uśmiechem, jakby żartu, śmiała się, kręciła głową i szeptała:

— Komponuje wybornie.

Naturalnie z tego przyjęcia za syna wypadła rzecz dla mnie najprzykrzejsza, której uniknąć musiałem, bądź co bądź. Staroscina chciała mi nieustannie być w czemś pomocą, ciągle mnie obdarzała, pani Sawicka oczyma i ruchami błagała mnie, ażebym przyjmował. Działo się więc tak, że, pozornie biorąc i dziękując, natychmiast na ręce córki składał, co otrzymałem od matki.

Przekonawszy się o mojem niezłomnem postanowieniu w tym względzie, pani Sawicka, wcale się nie sprzeciwiając już, odbierała wdychając te ofiary, z których najmniejszej prószynki przyjąć nie mogłem.

Trwało to wszystko, jak powiadam, czas jakiś bez większych komplikacji. Na Wielkanoc, oprócz Sawickiego, którego wprzód poznałem, bardzo zacnego człowieka, posłusznego żonie, powolnego i niepodejrzliwego, przybyli do Zabłocia państwo Baranowiczowie oboje.

O całej mojej historii, położeniu w domu starostwa słyszeli już wprzód; nie podobało się im to mocno.

Sam Baranowicz, człowiek niezmiernie o grosz dbały, zapobiegliwy, nie pochwałał wypuszczenia mi Rutek w dzierzawę, jak się wyrażał, za psie pieniądze, we mnie widział zawczasu, nie znając, awanturnika, który wyzyskiwał słabość, a jak on mówił, obłąkanie i zdziecinnienie starosciny. Pani Baranowiczowa tak samo widziała przez oczy męzowskie, jak Sawicki przez źrenice żony. Gotowała się tedy burza z mojego powodu, której ja ani się domyślałem, ani przewidywałem.

Gdy w Wielkim Tygodniu przybyli Baranowiczowie, byłem w Rutkach; pierwsze więc sceny wstępne odegrały się beze mnie. Gwałtowniejszego charakteru od siostry, pani Baranowiczowa, mocno już w drodze przez męża przygotowana, za ledwie przybywszy i pozostawszy sam na sam z matką, poczęła jej czynić wyrzuty, że się na śmiech ludzki naraża, obcym ludziom dając z siebie korzystać, krzywdząc własne dzieci dla jakichś awanturników i t. d.

Staruszka wysłuchiwała cierpliwie wyrzutów córki, wstrzymała się od odpowiedzi, zmiłczała. Poprosiła potem do siebie męża, i, co mówili na osobności, tego nikt nie wiedział. Scena jakaś zaszła z Baranowiczem potem, który, nie czekając Wielkiej Nocy, pod pozorem pilnego interesu, wyjechał z Zabłocia. Żonę tylko zostawił na straży.

Gdyżem zawczasu zaproszony na święta przybył w Wielką sobotę do Zabłocia, stary kamerdyner czekał już na mnie w ganku i prosił, abym z nim szedł do starosciny. Zostałem ją samą, przy pacierzach. Jak zwykle, pocałowała mnie w głowę.

— Mój Włodziu — rzekła, bo inaczej mnie nazywać nie chciała — uczyn to dla mnie, bądź cierpliwy i wyrozumiały dla tej mojej poczciwej Baranowiczowej, która tu jest. Ja tego ci nie potrzebuję mówić, bo ona zawsze taka była młodą. To biedactwo zawsze kwaśne, smutne, kapryśne, więc, choćby tam czasem syknęła a skrzywiła się, nie zważaj, moje dziecko, nie zważaj! Moje serce ci to nagrodzi. Zawsze to... (tu się rozśmiała do mnie z porozumieniem) zawsze to... siostra... Już rozumiesz.

Z tem mnie staruszka odpuściła.

Poszedłem do Bogusza, który mnie z podwojoną przyjął grzecznością, ale o Baranowiczach tyle tylko wspomniawszy, że on sam bardzo żałował, iż mu niezmiernie gwałtowny wypadł interes i wyjechać musiał, a poznać mnie nie będzie miał przyjemności.

W pokoju zastałem panią Sawicką, także serdeczną bardzo, jakby już zawczasu za to, co od siostry miałem uciepieć, płacić mi chciała. Lorcia też przyjęła mnie, jakby prawdziwego wujaszka.

Na kanapie siedząca majestatycznie pani Baranowiczowa, gdym się jej przedstawił, zaledwie głową mi kiwnąć raczyła. Z twarzy i jej wyrazu wyczytałem wypowiedzenie wojny. Prestroga staruszki już mi się jej kazała spodziewać. Co było robić? Mężne stawić czoło i — cierpieć. Tegoż wieczora poczęły się podjazdowe wycieczki, przekąsy, umyślnie uchybienia i posponowanie, ale starościna, jakby naprzekór, była nadzwyczaj czułą.

Usuwałem się z przed oblicza zagniewanej pani, i na ten raz posłużyło mi to wcale nieźle, bo, uciekając od niej, miałem zręczność zbliżania się do Lorci. Byliśmy z nią codzień lepiej i bliżej, a siostra, która się widać domyślała czegoś, serdecznie nam pomagała.

— Niech się pan nie boi cioci Baranowiczowej i jej złych humorów — szepnęła mi Lorcia — ma migrenę, ale jej to przechodzi. Jeden na to sposób: nie trzeba zważać.

Trochę to było trudnem, bo nie tylko oczów, uszu też trzeba było nie mieć, aby nieustannych ukłóc nie brać do siebie. Im mniej występowanie to przeciw mnie miało skutku, tem pani Baranowiczowa dozę lekarstwa podwajała.

Jakem się później dowiedział, dała słowo mężowi, że mnie stąd wykurzy. Brała się do tego, trzeba przyznać, z niewieścią gorączką i zapalem, a niezbyt zręcznie. Jednakże podrażniła mnie tego wieczora okrutnie.

Nazajutrz zjechało się mnóstwo gości. Między innemi (wszystko to później się dopiero odkryło) przybył forytowany do Lorci przez Baranowiczów niejaki Kuźmiński. Jejmość, pierwszego już wieczora spostrzegłszy moje zbliżanie się do panny, podwójnie tem przeciw mnie poburzona, przed święconem pono wzięła na stronę Kuźmińskiego i dała mu instrukcję.

Miał być narzędziem do pozbycia się mnie z Zabłocia.

Słówko o tym Kuźmińskim. Mężczyzna był w moim wieku, także w młodych latach trochę wojskowego chleba kosztował, słuszny, przystojny, zręczny, silny, gospodarz dobry, człek uczciwy, ale głowę miał tępą i defekt brzydkości, bo się jąkał. Czasem udawało mu się przez cały dzień mówić płynnie i zatrzymać się na jednym słowie, ale bywały na niego chwile, że, strwożywszy się, co moment się zająkiwał, a gdy go to napadło, czerwieniał, twarz mu nabiegała i mało że w konwulsy nie wpadał. Szczególniej, gdy poruszony był, rozgniewał się, napił więcej, podpadał temu kalectwu. Sam przez się mało co robił, zawsze go ktoś popychał. Na teraz kierownictwo wzięła Baranowiczowa. Kuźmiński był bardzo majętny, stateczny, nic mu oprócz tego jąkania i słabej głowy zarzucić nie było można.

Przy święconem jajku poznałem się z wszystkimi: i z księdzem kanonikiem Supajłą, przyjacielem domu, który po raz pierwszy przy mnie tu przybywał (pono dalekim krewnym Boguszów) i z sędzią Rozwadowskim, powinowatym samej pani, i z innymi wielą. Kuźmiński mi się zdała pokłonił, ja jemu, skończyło się na tem. Gdy mi Lorcia podała do podziału święcone jajo, przypadkiem obejrawszy się ku niemu, zobaczyłem go w płomieniach, dostrzegł, żeśmy coś poufale szeptali, i ona się zarumieniła.

Dzień zszedł jako tako, bo osób było dużo i rozmowy ogólne, obojętne. Starościna, jakby umyślnie, starała się mnie trzymać przy sobie i okazywać publicznie to przywiązanie, jakie ku mnie powzięła. Mówiła o mnie kanonikowi, rozpowiadała Rozwadowskiemu, musiała Kuźmińskiemu coś powiedzieć, uderzało to wszystkich, że byłem tu, jak w domu. Nie przechwalając się temi łaskami, nie mogłem się znów taić.

Nazajutrz niektórzy z gości się rozjechali, inni przybyli, Kuźmiński został. Na trzeci dzień Wielkiej Nocy, gdym jeszcze był w mojem mieszkaniu zrana i kończyłem się ubierać, usłyszałem kroki, patrzę, wchodzi sztywny, wyprostowany, z miną jakąś junacką razem i pomieszany Kuźmiński.

Przywitaliśmy się zimno.

— Ja tu do waćpana dobrodzieja z małym interesikiem — odezwał się, nie chcąc usiąść przybyły.

— Do usług.

— Może to zapytanie będzie śmiało — rzekł — ale jam żołnierz, pan też, otwartość jest naszym przymiotem. Pokryjomu i podstępnie nie mam zwyczaju nic czynić.

— Ja też — wtrąciłem.

— Mam zamiar, szczerze panu mówię, o pannę Sawicką konkurować, a przestrzegam, że mogę mieć w panu rywala, jeżeli się nie myślę. Więc — karty na stół.

Ruszyłem ramionami.

— Trochę to dziwne pytanie — odpowiedziałem — wszelakoż nie wzdrygam się na nie dać odpowiedź. O pannę, która nikomu nie jest ni przeznaczoną, ni przyrzeczoną, ni zaręczoną, każdemu się starać wolno. Mnie i panu. Niewiadomo, komu Bóg da szczęście.

— Jabo nikomu w drogę nie lubię włożyć i nie pozwolę też, aby mnie kto włożył.

Spojrzałem nań.

— Jak to pan rozumie, to »nie pozwolę?« — spytałem.

— Niech pan to sobie tłómaczy, jak chce — rzekł trochę już jękając się Kuźmiński.

Zmierzyliśmy się oczyma, zatarł czuba i zwolna się po pokoju przechadzać zaczął.

— A gdybym ja to wziął za wyzwanie! — spytałem.

— Jam nie od tego! — odparł, coraz mocniej się jękając.

— Ja także nigdy nie odmawiam zaprosin tego rodzaju — odezwałem się. — Zważ pan tylko, że oba o pannę nie mamy prawa się bić, bo żaden z nas jeszcze się do niej ani zbliżył. Uczynię panu tę refleksję, że do wyrąbania się mamy czas, a gdybyś mnie istotnie wyzwiał, toby mu prędzej zaszkodziło do panny, niż pomogło.

Kuźmiński się zamyślił.

— Jeżeli pan dobrodziej — dodałem — masz jaki inny słuszny powód zahaczenia się ze mną, na przykład, jeżeli się mu nos mój nie podobał, albo mina, lub chód, to co innego.

Mówiłem drwiąco, bo mnie znacierpliwił; odwrócił się żywo.

— Dosyć tych kilka słów, abym powód miał — rzekł. — Po świętach się skomunikujemy. Tymczasem, spodziewam się, zostanie to między nami.

— Możesz pan być spokojny — odpowiedziałem — uregulujemy to na przewody, czy po przewodach, a tu w domu gościnnym u starostwa dajmy sobie pokój.

Skłonił się, ja jemu, wyszedł. Poznałem z miny pani Baranowiczowej, gdym się z nią spotkał przy święconem, bo tu ono cały tydzień trwało, że wiedziała już o wszystkim. Wzrokiem urażliwym, zwycięskim rzuciła na mnie, podwoiłem wesołość i nadskakiwania około Lorci; Kuźmiński chodził struty.

Nie mam się czem chwalić, bo mnie tak Pan Bóg stworzył i Jemu, nie sobie to winienem, ale jest i było zawsze ze mną tak, że na długą metę gniewu nigdy utrzymać nie mogłem. Łatwo mnie było rozsierdzić aż do pasy, ale żebym się ze złością w sercu całe lata nosił! od tego mnie uchowała łaska Boża. Kuźmiński swoim wystąpieniem trochę mnie na siebie obruszył w pierwszej chwili, alem stygł już. Wiedziałem, że sobą nie władał, że go popychano, prawie mi go już żal było. Nie dałem mu w najmniejszej rzeczy poznać, że żal jakiś miał do niego. Owszem przy stole, w rozmowie, zamiast się mu przeciwzić i szukać zwady, pomagałem. Zająknął się parę razy, podszeptałem mu słowo pocichu, bez śmiechu, boć biedne człeczysko defektowi, którym go Bóg dotknął, nie był winien. Uważałem, że to jakoś przyjął wdzięcznie i był jakby skonfundowany. Nie chcąc znowu, by sądził, że go sobie jednam, unikałem go.

Drugiego dnia Kuźmiński, czegoś kwaśny, po obiedzie się posprzeczał o marną rzecz z jednym z sąsiadów, szło o rozwiązanie, kto miał słusność. Byłem przy tem, obrócono się do mnie. Krótko a węzłowato przekonałem, że słusność była na ten raz przy Kuźmińskim. Poszedłem zaraz precz, aby mi nie potrzebował dziękować; a no, co prawda, to prawda. Nie odjeżdżał do przewodów. Nie wiem tam, z czego poszło, że starosta mu opowiedział moje przybycie do ich domu i całą historję, ze łzami w oczach. W sobotę rano, gdy się gołę, znowu słyszę, drecpcze ktoś, wchodzi Kuźmiński, ale skonfundowany niezmiernie i całkiem inny. Chce coś zacząć mówić, jak się zaciął, ani sposobu.

Żal mi go było, więc zagadałem zręcznie, dając mu się wyprychać i nie okazując po sobie nic, ochłonał jakoś.

— Wiesz pan co — odezwał się do mnie nareszcie — miałem sposobność przekonać się, że pan jesteś dobry człowiek. Co my mamy dla babskich spraw się zadzierać, to głupstwo, dajmy sobie ręce — i niech będzie zgoda.

Podąłem mu rękę chętnie.

— Słuchaj, mój poruczniku — rzekłem — daję ci słowo, że do panny przeszkadzać ani chcę, ani myślę. Serca jej ani pałasz, ani kula nie da, staraj się, ja stoję na boku.

— Panna ani patrzy na mnie — rzekł.

Jeszcze raz wzdychając, podał mi dłoń.

— Masz tu nieprzyjaciół — dodał — ale masz i tych, co waćpana kochają. Ja już teraz wiem wszystko, mówiła mi dużo pani Sawicka, osoba godna, powiadał starosta.

Zamilkłem, tak się rzecz skończyła, a w Kuźmińskim miałem później przyjaciela do zgonu. Tegoż dnia musiał coś powiedzieć Baranowiczowej, bo mnie bazyliuszka wzrokiem ściagała. Po przewodach zapowiedziała wyjazd swój, sądząc, że ją będą wstrzymywali, a o tem nikt nie myślał. Starościna tylko, która serce miała anielskie, bolejąc nad tem dzieckiem, obdarzyła je, obsypała, aby jej za tę gorycz, której doznała, nagrodzić. Nic to nie pomogło, odjechała gniewna i nadąsana.

Nauka, jaką mi przyniosło przybycie tych państwa do Zabłocia, pobudziła do myślenia o sobie. Czulem coraz bardziej, że gram tu rolę, która u ludzi szkodzić mi może i różnie być tłómaczoną. Postanowiłem więc jak najmocniej starać się wyrwać z Zabłocia, pojechać na dłuższy czas do brata, przerwać trochę te stosunki, choćby serce zabolowało.

Wistocie boleć ono musiało, raz, że się do staruszki nniezmiernie przywiązałem, powtóre, że mnie ta Lorcja ciągnęła. Kochałem się szalenie, ale pocichu, nie mówiąc słowa, nie śmiejąc się zbyt przybliżać, nie chcąc korzystać z położenia. Starościna niekiedy zdawała się odgadywać skłonność moją, ale zawsze na seryo biorąc synostwo moje, groziła mi i mówiła:

— Tylko proszę do siostrzeniczki się tak nie zbliżać, bo to się nie godzi, nie godzi.

Czasem, gdy przed wyjazdem do brata parę dni nie był w Zabłociu, wnet posłaniec za mną gonił, kazano przyjeżdżać.

— A, jam stara, ja się już tobą niewiele nacieszę, nie uciekajże ty ode mnie — mówiła prawie ze łzami. — Czy ci to tu źle? Czy ty nie wiesz, jak my cię kochamy?

Pani Sawicka opowiadała mi, że sny miewała staruszka, odgadywała dnie i godziny, gdy miał przyjechać, poznawała po turkocie bryczkę, która mnie przywiozła.

Tysiączne dowody tego przywiązania nappełniały mnie wdzięcznością, lecz zarazem niepokoiły i męczyły. Czulem, że rodzinie odbieram, co najdroższego miała, serce matki, była to kradzież i oszukaństwo wedle mojego pojęcia. Mówiłem to nieraz pani Sawickiej, starającej się mnie uspokoić i uprosić, abym biednej staruszce jedynej nie odbierał pociechy. Gdy o wyjeździe do brata zaczął mówić, starościna, która wszystko usiłowała tłómaczyć po swojemu, ażeby się nie wyrzec raz stworzonej sobie baśni, powiedziała przed Sawicką:

— Już ja wiem, Włodzio musi mieć bohdanekę i do niej mu tak pilno. Gdzie brat! jaki! to tylko fikcja, ale kiedy się koniecznie napiera, niech już jedzie, byle tam zbyt długo nie bawił, bo mi tęskno będzie.

Gdy przyszedł na pożegnanie, rozplakała się, powtarzając mi prawie toż samo. Starosta był trochę niezdrów i z pokoju swego nie wychodził, i jego więc musiałem osobno żegnać. Znalazłem go zmienionym, i, choć słabość, jak doktor zaręczał, nie miała w sobie nic zagrażającego, mnie się wydał dziwnie zmienionym i osłabłym na umyśle. Nie rad był, że mi wypadło jechać, ale wstrzymać nie mógł.

Ruszyłem nazajutrz z Rutek z mocnem postanowieniem zabawienia u brata. Wpadłszy do domu jego, dawnego rodzicielskiego, znalazłem w nim tyle wspomnień, tak żywą przeszłość, przyjęto mnie tak serdecznie, iż mi moje kłopoty dziwnie wyszły z głowy. Na wieść o mojem przybyciu dawni znajomi i przyjaciele domu zaczęli się ściągać, dnie płynęły świątecznie i wesoło.

Parę tygodni przeszło, anim się opatrzył, gdy jednego dnia, wracając z polowania, ledwieśmy z bryczek zsiadli, patrzę, idzie ku mnie posłaniec z listem w ręku.

— Skąd?

— Z Zabłocia.

Tknęło mnie jakieś przecucie niedobre, nim list rozpieczętowałem, pytam go:

— Cóż tam u was?

Fornał dworski w głowę się poskrobał.

— A cóż! bieda, jaśnie panie, starosta nam zmarł.

— Co mówisz! — krzyknąłem.

— Już czwarty dzień, jak go Bóg wziął do swej chwały.

Rozpieczętowałem list. Pisała do mnie pani Sawicka, zaklinając mnie na wszystko w świecie, na cienie mej własnej matki, abym coprędzej do Zabłocia przyjeżdżał, bo jedyną we mnie nadzieję mają dla starościny, która się nieustannie o mnie dopomina.

Nie było co nawet myśleć, w takim razie obowiązek chrześcijański służyć nieszczęśliwym; kazałem niezwłocznie konie zaprzęgać i ruszyłem do najbliższej poczty, a stamtąd wprost do Zabłocia.

Pomimo największego pośpiechu nie trafiłem już na pogrzeb, który przyspieszono dlatego, aby nie przedłużyć dni żałobnych ze względu na starość. Ciszę grobową zastałem w starym dworze, całą rodzinę bliższą i dalszą zgromadzoną, jakieś narady, szepty i strwożenie widoczne. Jak tylko przybyłem, Sawicka wprost mnie poprowadziła do starościny, która, mnie ściskając i płacząc, rzuciła się na szyję. Usiłowałem ją pocieszać, nadaremnie, powtarzała mi tylko:

— Przez litość nie odstępuj mnie.

Musiałem się więc przygotować na wszystko, co mnie tu z Sawickim, Baranowiczem i rodziną czekało. Trzeba jeszcze wiedzieć, że znacznie większa część majątku należała do starościny samej, a mężowski zapisany był na przeżycie, tak, że rozporządzenie fortuną zależało od staruszki. Nie lękali się może zięciowie o dobra, których pani Boguszowa nie miała prawa oddać komu innemu, jak dzieciom, ale o bardzo znaczne kapitały, wedle ich pojęcia mające się stać lupem awanturnika. Nie posądzałem ich o to, anim wiedział, co myśleli, lecz z obejścia się ze mną Baranowicza szczególnie mogłem wnosić, jakby był rad się mnie pozbyć. Jedną pocziwą pani Sawicka i skromna cicha Lorcia dodawała mi sił i odwagi.

Gdy starościny żał gwałtowny cokolwiek się uśmierzył, familia z pomocą kanonika Supajły poczęła zrećnie nalegać na starość o zrobienie rozporządzenia. Baranowicz domagał się oddania im dóbr, z których się płacić sumę oznaczoną ofiarowali, ksiądz Supajło jednak rozmowę o tym delikatnym przedmiocie potrafił odciągnąć jakoś, i byłoby może oszczędziło się staroście przykrości, gdyby Baranowicz, wypatrzywszy chwilę, zniecierpliwiony sam jej nie rozpoczął.

Pani Boguszowa znalazła się z wielkim taktem, nie uniosła się, nie wzięła mu tego za złe, odpowiedziała obojętnie i odprawiła z niczem. Ten się już zaczynał coś odzywać o kurateli. O ile możliwości unikałem zetknięcia się z nim, a tem bardziej sporu, na ostatek trafiło się tak, że, gdy mi już do żywego dopiekl, musiałem go dnia jednego wziąć na stronę.

— Mój mości dobrodzieju — rzekłem mu stanowczo — położenie moje w tym domu tak jest osobliwsze, a ja nie mam honoru mu być bliżej znajomym, że wreszcie muszę tu z nim rozmówić się otwarcie dla uspokojenia go. Oświadczam więc panu uroczyście i gotówem to pismem stwierdzić, iż, mimo szczególnego afektu dla mnie starościny, nie tylko stąd żadnych korzyści nie myślę i myślałem ciągnąć, ale gotówem się własnym groszem okupić od posądzeń.

Baranowicz się zmieszał mocno.

— A któż mógł panu myśl podać, że my go o to posądzamy? — burknął.

— Całe postępowanie pańskie — rzekłem. — Gdyby nie czcigodna staruszka, której serca nie chcę zakrwawiać, dawnoby mnie tu nie było, zrzekłbym się Rutek, dzierżawy i znajomości nawet.

Widząc, że to tak gorąco biorę, zawstydził się Baranowicz, począł przeproszać, tłumaczyć się, zapewniać, że mu w myśli nie powstało. Zły był jednak, że go odgadł i tak obcesowo przyparł do kąta. A że starościny do uczynienia rozporządzenia nie mogli skłonić, oboje Baranowiczowie nazajutrz wyjechali. Pozostał kanonik, pani Sawicka z córkami i ja.

Jednemu tylko Panu Bogu wiadomo, com się naówczas, cudzą grając rolę, namęczył; a rzec się nie było podobieństwa. Starościna prawie wszystko zdawała na mnie: papiery, interesa, kasę, dom, czyniąc mnie w nim panem niejako. Ja z mojej strony musiałem nieustannie konferować z panią Sawicką, jej przekazując wszystko i stosując się do rady i woli.

Jedyną moją pociechą było, że mnie to do Lorci zbliżało. Stosunek z nią był w swoim rodzaju osobliwy, była bowiem znacznie młodszą ode mnie, a ja, choć się szalenie kochałem, miłości tej musiałem nadawać ton i powagę przywiązania wujaszka do siostrzenicy. Wprawdzie ułatwiało to stosunki, czyniło je poufalszymi, lecz pewnej granicy przejść nie dozwalało. Dziewczę było nad wiek swój roztropne, z główką otwartą, z sercem, co kochać umie głęboko, spokojnie, cicho.

Nie potrzebuję przypominać ichmościom, że, jak ludzi jest rodzajów wiele, tak i miłości ich różne bywają, szczególnie zaś u kobiet napatrzeć się można osobliwych, ale najrzadszą jest ta pocziwa miłość, jaką i ja dla Lorci i ona miała dla mnie. Wiedzieliśmy

doskonale, żeśmy się kochali, bo na to słów nie trzeba i wyznań, ani ja, ani ona na pewno nie mogli przewidywać, czy kiedy co z tego będzie, aleśmy siebie pewni byli, że, choćby przyszło z największymi walczyć przeszkodami i czekać jak najdłużej, zmienić to nas nie potrafi.

Gdy się goście rozjechali, a mnie starościna oddalić się nie dawała i, wszystkich oficjalistów zwoławszy, przykazała mi posłuszeństwo, rozpoczęło się dawne regularne życie w Zabłociu. Brakło nam tylko pocziwego staruszka, którego krzesło zostało próżnym, aleśmy wspomnieniami jego żyli...

Pani Boguszowa, nie jak czasem inne, niby wielce zbolale niewiasty, które zacierają pamięć osób oplakiwanych i usuwają wszystko, co by je mogło przypominać, przeciwnie, zachować się starała, co utrzymywało wspomnienie nieboszczyka, mówiła o nim, opowiadała przeszłość, zdawała się mieć upodobanie do wskrzeszania dni ubiegłych.

Wieczorami przychodziła do salonu, i tu na czytaniu lub rozmowie kilka godzin ubiegała. Opowiadania o staroście szczególnie były do mnie zwrócone dlatego, że ja przez długi czas go nie widział i nie znał. Zawsze bowiem rachowałem się za tego szwoleżera, który zawczasu z domu rodzicielskiego uszedł i wstąpił do wojska.

Nigdybym nie wytrzymał w tej biedzie, gdyby nie pani Sawicka. Kochała ona matkę nadzwyczajnie i z miłości dla niej mnie, jak na sznurku, trzymała. Gdy się czasem poskarżył, patrzyła mi w oczu, ruszając ramionami.

— Czyżbyś pan w pocziwem sercu swoim nie znalazł kompensaty za tę ofiarę, jaką dla nas czynisz! — mówiła.

Być może, iż Lorcę miała na myśli, ale ani jej się z nią narzucać mi nie wypadało, ani, korzystając z położenia, sięgać zaraz po rekompensę.

Gdyby wygódkę, pieszczoty, nadszkakiwania mogły osłodzić człowiekowi fałszywość położenia i upokorzenie a niewolę, mógłbym się być uważać za bardzo szczęśliwego. Uprzedzano moje życzenia, starano się odgadnąć gusta, a byłem słowo powiedział, starościna co najspieszniej wydawała rozkazy, i musiano się do nich stosować. Ludzie, którzy mieli interesa do Boguszów, potrzebowali protekcji, pośrednictwa, płynęli do mnie i mężczyli. Przelewałem ich żądania na panią Sawicką, ale gdy szło o rozstrzygnięcie, starościna wolać mnie kazała i wymagała, ażebym ja decydował.

Z powodu tego ciągłego przebywania w Zabłociu trudno mi było dojechać i dopilnować się w Rutkach, oficjaliści młodzi za oczyma nadużywali, i pomimo, że dzierżawa była doskonała, widziałem się zagrożony stratą.

Pisnąć zaś niepodobna było o tem, bo delikatność nie pozwalała.

Choć młody i niewiele dbający o pieniądze, gryzłem się tem. Biercie to sobie, jako chcecie; ale wyznam otwarcie, choć może nie umiałem, jak drudzy, robić majątku, tracić zrobiony uważałem za grzech. Niech sobie mówią inni, że grosz głupia rzecz, że się to do niego przywiązywać nie trzeba; ja trzymam inaczej. Majętność po rodzicach, co to jest? Ich praca, oszczędność, ich pot krwawy, noce bezsenne, jest to rzecz, powstała z niczego, a dająca, o ile co na świecie pewnego, niezależność, zapewniająca wychowanie dzieci, wykształcenie ich, wprowadzenie na świat, na ostatek możność czynienia dobrego. Mamy może prawo nie zbierać i nie zapracowywać, jak się komu podoba, a tracić nie mamy prawa, kto traci, winien jest wobec społeczeństwa, rodziny, przeszłości i przyszłości. Wolno pewnie złożyć w ofierze wszystko, co się ma, na cele szlachetne, ofiara marnotrawstwem nie jest; strwonić się nie godzi.

Strwonić na dogodzenie fantazyom, zachciankom, pysze, namiętności jest świętokradztwem, jakby kto z ołtarza i w błoto rzucił.

Więc, widząc moją ojcowiznę, zagrożoną rozpląnięciem mi się w rękach przez nieudolność moją, bolałem, tłómaczyłem to sobie tylko ofiarą. Dzierżawa, stosunkowo do fundusów, jakie mi brat zachował, była duża i łatwo się mogło stać, że jaka część trzecia jej mogła zniknąć. Stracić niezmiernie łatwo, dorobić się lub odrobić jak trudno, wie tylko ten, co był zmuszony ciuć po groszu.

Co było robić! Cierpieć i milczeć.

Humor mi się popsuł z tego, a i kwaśnej a posępnej miny pokazać się nie godziło. Do starościny przywiązałem się sercem całym i myślałem sobie, kiedy drudzy dla płochych miłostek tracą i cierpią, czemużbym ja dla macierzyńskiej miłości, którą mi Bóg zesłał, nie miał coś sakryfikować!

Nic się nie zmieniło w Zabłociu, trzeci rok już trwałem na tej osobliwszej służbie synowskiej, z którą ludzie się oswoili, wreszcie Baranowicze przestali się jej tak bardzo lękać, mniej o tem mówiono, jam się obył nieco z nią, ale ciężką mi była. Stałem się tu domowym zupełnie, poufałym, pilnując tylko, ażebym się z moją miłością dla Lorci nie wydał zbyt i cugli jej nie puścił. Pani Sawicka, już widać zupełnie spokojna z tej strony, dawała nam swobodę, ufając mi.

W trzecim roku do starszej siostry trafił się pretendent, sąsiad pan Matkowski, chłopak średniego majątku, dosyć dobrze wychowany, niczego, roztropny, ale też nie odznaczający się niczem tak dalece, oprócz szalonej miłości dla mojej ładnej siostrzeniczki. Jak tylko się to wydało, że się stara, Sawicka, przysłała do mnie po radę, a starościna odwołała się też na mnie. Musiałem i w tem grać rolę wujaszka; pannę wyrozumieć, o pretendentie małą inkwizycję przeprowadzić, a naostatek i Sawickiego, któremu zięć był za mało dostatni, na jego stronę nawrócić.

Zostaliśmy jednego dnia, gdy już po oświadczeniu i przyrzeczeniu około wyprawy panny się krzątano, ja i Lorcja w ganku sami jedni. Na stolikach pełno było gałganków, około których dziewczę chodziło z wielkim zajęciem.

— Dobrze to jest być młodszą siostrą — odezwałem się wesoło — pani teraz nabierzesz doświadczenia i około własnej wyprawy będziesz już doskonale wiedziała, jak chodzić.

Dziewczę spojrzało mi w oczy dziwnie i głową potrząsało.

— Gdzie to tam jeszcze do mojej wyprawy — rzekła — ktoby się o mnie starał!

— Skądże takie zwątpienie? — spytałem.

— Wcale nie zwątpienie, albo mi to pilno! — odezwała się Lorcja — albo mi to tu źle, przy babci, matce i wujaszku.

Uśmiechnęła się z dygiem.

— Dziękuję za wujaszka — rzekłem — ale ten nie powinien wchodzić w rachunek, bo fałszywy, a wszystko, co fałszywe na świecie, musi kiedyś iść precz.

Lorcja głową potrząsała ciągle.

— Przystawszy być wujaszkiem, zniknę ze sceny i będę tylko przypomnieniem nudnem jakiegoś intruza.

— Pan się koniecznie domaga komplementu? — szepnęła.

— A! od tego niech mnie Pan Bóg uchowa! — przerwałem.

— Źle się wyraziłam — poprawiła się Lorcja — to, cobym powiedziała, inaczejby się nazwać powinno. Myśmy wiele panu winni.

— Ja państwu także i, obliczywszy się, byłbym w długi — odezwałem się.

— O nie! — przerwała Lorcja. — choć ja sobie jestem, jak mnie mama nazywa, dzieckiem, ale ja widzę wszystko i rozumiem. Powtarzam, myśmy panu wiele winni.

— Dług ten, gdyby nawet był, niezmiernie łatwy do zapłacenia — rzekłem — pocziwe słowo i dobre wspomnienie, a będzie kwita. Panna Lorcja jednak zmuszoną zostanie fałszywego wujaszka zapomnieć. Przyjedzie jakiś pan Matkowski, zakocha się, poprosi pięknie, zabierze i...

— Nie dam się wziąć — przerwała Lorcja — nie mam ochoty iść za mąż.

— Wszystkie panny tak mówią, dopóki jakiś Matkowski nie przyjedzie, który się podoba.

— Mnie się podobać trudno.

— Dlaczego? — spytałem.

— Wymagam wiele.

— Naprzykład?

Lorcja się trochę zamyśliła.

— Widzi pan — rzekła — choćby się we mnie kochał najśliczniejszy królewicz, jak w bajce, nie dałabym się wziąć na szalone przywiązanie bez próby, jak w bajce. Bajki są bardzo rozumne. Musiałby spełnić wprzód czyn jakiś, któryby dowiódł charakteru, duszy, serca. Do nas przyjeżdżają kawalerowie wystrojeni, wyperfumowani, których znamy tylko z ich żargonu w salonie i z plotek, jakie o nich po sąsiedztwie chodzą. To za mało, jeśli się wiąże na całe życie.

Słuchałem z uwagą tych słów za poważnych dla młodej panienki.

— Wszystko to śliczne, rozumne, ale to jest teoria — rzekłem, śmiejąc się. — Gdy się młodzieniec podoba, natenczas próby niepotrzebne. Serce ma swe prawa, zaręczy za młodzieńca, porwie główkę i... kawaler od próby dyspensę dostanie.

— A! nie! nie! — zawołała Lorcja, zmilczała chwilę i szepnęła żywo: — W jednym tylko razie gotowam go uwolnić od próby, jeśli wujaszek zaręczy i da mi go z swojej ręki. Naówczas biorę z zawiązanemi oczyma.

— Ach! — zawołałem, chwytając jej rączkę i całując — bądź pani pewną, że z mojej ręki mieć go nie będziesz! nie wezmę na siebie odpowiedzialności.

Rozmowę przerwała nadbiegająca siostra; Lorcja mi spojrzała w oczy bardzo znacząco i dodała tak, żeby siostra nie słyszała:

— Albo od wujaszka mąż, lub nie idę wcale.

— Przygotujże się pani na stare panieństwo — szepnąłem — ja! nie mogę!

Była to może pierwsza nasza trochę większego znaczenia rozmowa, która później się przy różnych zręcznościach odzywała i powtarzała z odmianami i dalszymi ciągami.

W tym roku, choć się napozór w zdrowiu starościny nie zmieniło nic, wszyscyśmy dostrzegli, że słabła i zapominała się. Nie była chorą, ale jakby znużoną życiem, więcej czasu poświęcała modlitwie, mniej towarzystwu, mówiła o śmierci, jako o spoczynku, którego potrzebowała. Staraliśmy się ją rozerwać, chwilami się to udawało, potem wpadała w zamyślenie jakies milczące, jakąś półsenność i godzinami siadywała wśród nas na krzesle, nie mówiąc słowa. Zachowała całą swą przytomność, ale myślami zdawała się być gdzieśindziej, na drugim świecie. Zmiana w jej stanie była nieznaczna, powolna, stopniowa, tak, że myśmy ją mniej widzieli, niż obcy. Pierwszy uwagę moją i pani Sawickiej zwrócił na to kanonik. Zaprzeczaliśmy zrazu, potem i nas to uderzyło.

Starościna niepokoiła się teraz rozporządzeniem majątnościami. Był wprawdzie testament dawny, ale ten, po kilkakroć powtarzała, chciała przerobić koniecznie i odmienić. Unikałem o tem mowy, jak się łatwo dorozumieć.

Jednego ranka przyszła do mnie pani Sawicka, zastukała w okno i kazała iść do starościny. Ze to się codziennie prawie trafiało, nie zdziwiłem się wcale i poszedłem.

Staruszka, na pół siedząc, pół leżąc w fotelu swym, drzemała z koronką w ręku.

— A! jak to dobrze, że przyszedłeś, mój Włodziu — poczęła głosem słabym — ja się już dawno, dawno z tobą o tem mówić wybierałam. Trzeba raz skończyć, będę spokojniejszą.

— O cóż to chodzi? — spytałem.

— Siadaj tu blisko przy mnie, bo ja mówić głośno nie mogę.

Siadłem wedle zwyczaju na niskim stołeczku przy jej nogach.

— Czas bardzo, żebym ja tem, co mam, rozporządziła. Okoliczności, jak widzę, nie zmieniły się, i ty zawsze musisz się ukrywać pod pożyczonem imieniem, jakże ja tobie zostawię, co ci należy?

Krew mi do głowy palnęła.

— Ale ja nic nie chcę i nie potrzebuję — począłem.

Nie dając mi kończyć, staruszka rękę swą wychudłą położyła mi na ustach.

— Proszę tego nie mówić! — poczęła bardzo gorąco i żywo — ja tego słuchać nie mogę. Majątku w ziemi nie mogę zapisać, kiedy tak Bóg zrzędził, że ty musisz być tym jakimś panem Sewerynem. Kapitału jest dosyć, chcę, żebyś go wziął, cały, siostrom się krzywda nie stanie, bo każda z nich tyleż weźmie w dobrach.

— O kapitałach tych cały świat wie — odezwałem się — ja w oczach świata obcym jestem, oddać je mnie byłoby mnie wydać, wskazać.

Staruszka załamała rękę.

— Proszę mamci — dodałem, całując jej kolana — kapitały te zapisać pani Sawickiej, ona będzie depozytorką i od niej ja już sobie odbiorę.

Spojrzała mi w oczy z powagą i smutkiem.

— Ale czy pewnie?

— Przecie mamcia zna dobrze panią Sawicką, inaczej to nie może być.

Pocałowałem ją w rękę i, unikając dalszej rozmowy, wstałem ze stołeczka, chcąc odejść.

— Więc tak ma być? — spytała drżącym głosem.

— Tak, bo inaczej być nie może.

— Niech będzie, jak chcesz, ja z Sawicką pomówię, a ty mi jutro kaź sprowadzić rejenta. Czuję się jakoś słabą, senną, wiem, że koniec się mój zbliża.

O rozmaitych jeszcze legatach mówiła potem ze mną, nareszcie wyszedłem, jak z łaźni, wprost do pani Sawickiej, aby uprzedzić i przygotować. Zdaje się, że przeczuwała, o co chodziło. Przyjęła to, milcząc, a gdym dokończył, odezwała się:

— Pozwól mi pan powiedzieć dwa słowa: miałeś straty, robiłeś ofiarę...

— O tem ani pół słowa mówić nie pozwolę — rzekłem stanowczo i wyszedłem.

Gdy rejent przyjechał, uprosiłem panią Sawicką do pomocy staruszce, nie chcąc nawet być świadkiem spisywania rozporządzeń, wziąłem go tylko wcześniej na stronę i powiedziałem mu otwarcie, że, jeśliby starościna w jakikolwiek sposób miała o mnie wspomnieć w testamencie, aby się temu oparł, zaręczając, że nic nie przyjmę.

Prawnik przyjął to z pewnym zdziwieniem, biorąc może za skutek podrażnienia jakiegoś i obrazy; nie potrzebowałem się przed nim tłumaczyć, tylko jeszcze raz zapewniłem, że to jest nieodwołalne postanowienie moje. Był to dzień dla mnie przykry, ale w końcu się to przeżyło jakoś. Dano mi do przeczytania brulion, przekonałem się, iż kapitały przelane zostały na panią Sawicką, i uspokoiłem się.

Starościna też, uczyniwszy rozporządzenie, na parę dni odzyskała dawną żywość, a nawet pewien rodzaj wesołości. Lecz jakby ten wysiłek ją kosztował, uczuła się wkrótce osłabioną znowu i senną. Parę tygodni nie wychodziła już ze swojego pokoju, a ja prawie ciągle siedzieć musiałem przy niej. Gdy się zdrzemnęła na chwilę, otwierając oczy, pierwszym zawsze pytaniem jej było:

— Jest Włodzio?

Musiałem podawać wodę, usługiwać, bo od kogo innego nie przyjmowała chętnie. Osłabienie powiększało się, posłaliśmy po lekarza pod pozorem, że ogrodnik był chory. Przybył on, posiedział, pulsu nieznacznie popróbował i powiedział pani Sawickiej:

— Co pani chce? Życie się wyczerpało, staruszka gaśnie, jak lampa, co się wypaliła. Trzeba być przygotowanym do tego.

Z tem uchodzącym życiem, czasem się ożywiając nieco, krzepiona i podtrzymywana przepisaniem lekarstwami i pokarmami starościna jeszcze cały miesiąc przetrwała wśród nas. Zdawało się nawet pod koniec, że siły wracają. Był to ostatni błysk gasnącego światła.

Jednego wieczora, gdym przyszedł do drzemiącej, rozbudziła się, posłyszawszy mnie, kazała mi usiąść na stołeczku przy sobie, wzięła za rękę i poczęła mówić:

— Już mi czas! — wołają mnie tam! wołają! Bóg niech ci zapłaci za osłodzenie chwil życia ostatnich!

Pocałowała mnie w czoło.

— Byłeś dla mnie dobrem dzieckiem, nagrodzi ci to Opatrzność... a ja cię błogosławię. Rozplakała się mocno, weszła na to pani Sawicka.

— Chodź i ty tu, moja Leńciu, chodź, tobie też się należy moja wdzięczność i błogosławieństwo...

— Po co się mama tak rozrzewnia, to ją osłabia — zawołała, zbliżając się, Sawicka.

Starościna objęła ją rękoma za szyję, ale jakby wistocie uczucie gwałtowne ją wyczerpało, ręce opadły wkrótce, i starościna osunęła się na poręcz krzesła, jakby omdlona. Pobiegłem po wodę, córka poczęła ocierać skronie, ale biedna staruszka, tchnąwszy jeszcze parę razy, skończyła życie.

Rozruch się stał w domu niewypowiedziany, mnie serce się ścisnęło okrutnie, jakbym istotnie matkę utracił, wybiegłem, łkając, jak szalony. To była ostatnia scena tego dziwnego dramatu...

Nie będę opisywał wszystkiego, co potem nastąpiło; odbył się pogrzeb, ja wyjechałem do Rutek. Wynosząc się z Zabłocia ostatniego dnia po pożegnaniu urzędowym, gdym już miał wyruszyć stąd, w ganku spotkałem się z Lorcią. Nie wiem, czy przypadek ją tu sprowadził, czy znalazła się umyślnie, aby podać rękę. Oczy miała zaczerwienione. Zbliżyłem się, nie mówiąc słowa, wyciągnęła mi dłoń; spojrzeliśmy tylko na siebie, nie mogłem i ja powiedzieć nic, pocałowałem jej ręce obie, uciekłem.

Czułem, że mi należało wistocie uchodzić stąd, abym, upominając się o rękę Lorci, nie miał pozoru, jakobym nagrody żądał.

Nazajutrz z Rutek, gdzie mi tęskno było nie do wytrzymania, zmęczony, chory, zbiedzony, wyjechałem do brata. Gdy mnie przybywającego zobaczyli, prawie się przelękli,

tak zmizerniałem. Droga się przyczyniła do tego może, ale zachorowałem obłożnie i dwa miesiące z łóżka się nie ruszyłem.

Miałem mocne postanowienie zapomnienia wszystkiego, a nawet tej biednej Lorci. Ponieważ termin dzierżawy właśnie na świętego Jana wychodził, uprosiłem brata, aby pojechał ją zdać Baranowiczowi, na którego majątek ten przypadł.

Człowiek ów, choć się przecie o mojej bezinteresowności mógł przekonać, miał zawsze jeszcze ząb do mnie, a że oprócz tego w interesach był nieznośnym i drobnostkowym, mnóstwo narobił szykan, rachunków, pretensyi, i brat, chcąc to raz skończyć, opłacić się musiał grubo. Z tej tedy tak szczęśliwie wziętej dzierżawy wyszedłem, straciwszy połowę kapitału i kilka lat życia.

Brat, powróciwszy, z początku mi nic nie powiedział, aby nie martwić, później dopiero, gdy zupełnie wyzdrowiał, złożył rachunki.

Nie pojechałem nawet na Podlasie już i unikałem wszelkiego wspomnienia o mojej przygodzie. Po staroście został mi, jako jedyna pamiątka, krzyżyk złoty z błogosławieństwem, który chciała, abym nosił na szyi. Modliłem się co dzień za jej duszę.

Prawie dwa lata upływało już od śmierci jej, gdy na nową dzierżawę, którą wziąłem niedawno, przyjechał do mnie Zbąski, ten sam, z którym do Zabłocia pierwszy raz przybyłem. Widok jego takie we mnie wzbudził wspomnienia, że mi odwiedziny prawie przykre były. Zaraz na wstępie, w progu, zawołał.

— Wiesz, z czem przybywam! Po długich targach nareszcie mi się udało dostać średnią Moskorzewską, żenię się! Drużbą mi być musisz!

Zacząłem się wymawiać, on gniewać, koniec końców zmógł mnie, przyrzekłem jechać na ślub i wesele.

Przychodziło mi na myśl, a nuż tam gdzie się spotkam z Sawickimi, albo z Baranowiczami, ale mil kilka dzieliło ich od Moskorzewskich i wiedziałem, że ci mało z kim żyli.

Moskorzewski, jak był zwykł zawsze występować ogromnie, tak i na to drugie wesele wysilił się nadzwyczajnie. Zapraszał, kogo tylko mógł, przygotowania były niesłychane, zawczasu już o tem mówiono.

Rzecz to pewna, że, gdy skąpy chce się popisać, i rozrzutnego zakasuje. Będzie potem zbierał lupinki i gryzł się w sercu, ale, znaj pana po cholewach, musi być!

W wigilię ślubu przyjechawszy, zastaliśmy już ludzi gromady i występ pański, nazajutrz obiecywano drugie tyle. Jakoż poczęło się zjeżdżać sąsiedztwo wszelkiego kalibru od rana i płynęło jedną strugą do wieczora.

Czas był jesienny, ale dni piękne i pogodne. Młodzież stała w ganku, bo już w pokojach i ciasno było straszliwie i gorąco. Byłem i ja w tłumie tym, gdy czterokonny powóz zajechał i koło mnie ktoś zawołał:

— A! to Sawiccy!

Jakby mnie ukropem oblał, a potem zimną wodą. Nie byłem nigdy tchórzem, w tej jednak chwili, wyznając, jakiś nieopisany strach mnie ogarnął, tak, że, gdybym był mógł, uciekłbym z placu. Zwróciłem oczy ku wchodowi i w tej chwili zobaczyłem panią Sawicką z mężem, a za nią tuż idącą Lorcię, tak piękną, jak była, choć bledszą i smutniejszą, niż ją znałem w Zabłociu. Ona też musiała mnie spostrzedz, bo stanęła jakoś pomieszana, pobladła bardziej jeszcze, zacięła usta i dopiero, ochłonąwszy nieco, poczęła się przeciskać za matką. Widząc, że idzie sama, rzuciłem się ku niej, zapomniawszy na wszelkie postanowienia, nie zważając, że na nas patrzą, przypadłem i podałem jej rękę. Słowaśmy nawet nie powiedzieli do siebie, bo i mnie słów brakło i ona się na powitanie zebrać nie mogła. Sawicka, która zobaczyła, gdym szedł, odwróciła się, skinąwszy mi głową i grożąc nieco.

Niedobrze pamiętam, co się dalej ze mną działo, wiem, że, posadziwszy pannę, przywitawszy rodziców, został przy nich, nie mogąc ruszyć. Otaczało nas zbyt wiele osób, abyśmy coś więcej nad parę słów obojętnych przemówić mogli.

— Mój Boże! — zawołała do mnie w głos — co się to z panem stało? Tyle czasu, żebyś też zajrzał, żebyś się dowiedział, żebyś dał znać o sobie! Słowo daję, nie mogę panu tego darować.

— Pani moja — rzekłem — wejdź w położenie moje, nim mnie potępisz! Mnie to pewnie przykrzejszem było, niż państwu, ale tak być musiało.

Ruszyła ramionami.

Prędeż, niż chciałem, jako družba pana młodego, musiałem pójść pełnić moje obowiązki, lecz skorom się zdołał uwolnić, wróciłem do Lorci. Szczęściem dla mnie, po obiedzie, gdy się goście rozbawili, wrzawa stała się większa, każdy sobie znalazł swoich i zajął się nimi, mogłem i ja swobodnie się zbliżyć do panny.

— Czy pan już na zawsze się nas wyrzekłeś? — zapytała mnie.

— Jak się pani możesz o to pytać mnie? — odpowiedziałem — i czyż nie usprawiedliwiasz mnie, że inaczej nie mogłem postąpić!

— Ależ przecie dlatego, że babunia pana tak bardzo kochała — odezwała się — to nie może być powodem, abyś nas pan nienawidził za to.

— To słowo okrutne! — odpowiedziałem.

Spojrzała na mnie z wyrazem nie gniewu, ale żalu.

— Po weselu jadę do Zabłocia — odezwałem się, zbierając na odwagę — zdaje mi się, że już odpokutowałem za moje grzechy i wszystko zapomniane zostało. Nikt mnie teraz nie posądzi o nic więcej, prócz że państwa szanuję i Kocham.

Ruszyła ramionami.

— Nikt pana nie mógł o nic posądzać — dodała — a ja posądzałam tylko, żeśmy mu tak dokuczali, że nas nie chcesz widzieć na oczy.

— I zwątpiłaś pani o mnie? — spytałem smutnie.

— Nie — odpowiedziała mi i podniosła oczy. — Nie zwątpiłam — rzekła — alem się gniewała.

— Mogę więc do Zabłocia przyjechać? — spytałem schylając się.

Uśmiechem tylko odpowiedziała.

Przy tańcach rozmówiliśmy się szczerzej i otwarciej. Tegoż wieczora przysunąłem się do matki; dostałem od niej burę, bośmy z sobą nadto byli dobrze, by potrzebowała się ceremonizować. Widziała już i odgadła moją rozmowę z córką.

Tak wśród tego wesela i ja się oświadczyłem, a we trzy dni pojechaliśmy ze Zbąskim uroczyste po dawnemu pannę zaswatać.

Zostało mnie na całe życie milej tej przygody wspomnienie, bo koniec końców ona o moim losie przyszyłem rozstrzygnęła, jednakże, gdy sobie wszystkie przejścia moje w tej dziwnej roli na pamięć przywodzę, momenta ciężkie, które w niej przebywałem, uczucia, jakich doświadczałem, utrapienia, kwasy, powiadam państwu, nikomu i nigdy nie życzę, jak ja, być w *cudzej skórze*, choćby ona była jak najmiększą i najgładszą.

Tyras, śpiący przy ogniu, podniósł głowę, miał on instynkt przedziwny przeczucia wieszczery, jakoż kroki w sieni słyszeć się dały, otworzyły się drzwi, i stary Paweł uroczystym głosem zwiastował:

— Dano do stołu!

Szliśmy na kolację, a pan Seweryn przy niej, jakby wspomnieniami owiany starem, przesiadział milczący i chmurny.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-upior/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Upiór*, wyd. Gebethner i Wolff, druk W.L. Anczyk i Spółka, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0470-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.